CENTRALNA KOMISJA EGZAMINACYJNA

Arkusz zawiera informacje prawnie chronione do momentu rozpoczęcia egzaminu.

Układ graficzny © CKE 2013

UZUPEŁNIA ZDAJĄCY

KOD | | | |

PESEL | | | | | | | | | | | |

miejsce na naklejkę

☐ dysleksja

EGZAMIN MATURALNY Z JĘZYKA POLSKIEGO

POZIOM ROZSZERZONY

4 MAJA 2016

Godzina rozpoczęcia: 14:00

Czas pracy: 180 minut

Liczba punktów do uzyskania: 40

Instrukcja dla zdającego

1. Sprawdź, czy arkusz egzaminacyjny zawiera 13 stron. Ewentualny brak zgłoś przewodniczącemu zespołu nadzorującego egzamin.
2. Arkusz zawiera dwa tematy. Wybierz jeden z nich i napisz wypracowanie nie krótsze niż dwie strony (około 250 słów).
3. Pisz czytelnie. Używaj długopisu/pióra tylko z czarnym tuszem/atramentem.
4. Nie używaj korektora, a błędne zapisy wyraźnie przekreśl.
5. Pamiętaj, że zapisy w brudnopisie nie będą oceniane.
6. Możesz korzystać ze słownika poprawnej polszczyzny i słownika ortograficznego.
7. Na tej stronie oraz na karcie odpowiedzi wpisz swój numer PESEL i przyklej naklejkę z kodem.
8. Nie wpisuj żadnych znaków w części przeznaczonej dla egzaminatora.

MPO-R1_1P-162

Temat 1. **Na podstawie analizy fragmentu *Sklepów cynamonowych* Brunona Schulza wyjaśnij, w jaki sposób bohater postrzega rzeczywistość. Zwróć uwagę na językowy kształt tekstu.**

SKLEPY CYNAMONOWE

Uskrzydlony pragnieniem zwiedzenia sklepów cynamonowych, skręciłem w wiadomą mi ulicę i leciałem więcej, aniżeli szedłem, bacząc, by nie zmylić drogi. Tak minąłem już trzecią czy czwartą przecznicę, a upragnionej ulicy wciąż nie było. W dodatku nawet konfiguracja ulic nie odpowiadała oczekiwanemu obrazowi. Sklepów ani śladu. Szedłem ulicą, której domy nie miały nigdzie bramy wchodowej, tylko okna szczelnie zamknięte, ślepe odblaskiem księżyca. Po drugiej stronie tych domów musi prowadzić właściwa ulica, od której te domy są dostępne – myślałem sobie. Z niepokojem przyspieszałem kroku, rezygnując w duchu z myśli zwiedzenia sklepów. Byle tylko wydostać się stąd prędko w znane okolice miasta. Zbliżałem się do wylotu, pełen niepokoju, gdzie też ona mnie wyprowadzi. Wyszedłem na szeroki, rzadko zabudowany gościniec, bardzo długi i prosty. Owiał mnie od razu oddech szerokiej przestrzeni. Stały tam przy ulicy albo w głębi ogrodów malownicze wille, ozdobne budynki bogaczy. […] Światło księżyca, rozpuszczone w tysiącznych barankach, w łuskach srebrnych na niebie, było blade i tak jasne jak w dzień – tylko parki i ogrody czerniały w tym srebrnym krajobrazie.

Przyjrzawszy się bacznie jednemu z budynków, doszedłem do przekonania, że mam przed sobą tylną i nigdy nie widzianą stronę gmachu gimnazjalnego. Właśnie dochodziłem do bramy, która ku memu zdziwieniu była otwarta, sień oświetlona. Wszedłem i znalazłem się na czerwonym chodniku korytarza. Miałem nadzieję, że zdołam nie spostrzeżony przekraść się przez budynek i wyjść przednią bramą, skracając sobie znakomicie drogę.

Przypomniałem sobie, że o tej późnej godzinie musi się w sali profesora Arendta odbywać jedna z lekcyj nadobowiązkowych, prowadzona w późną noc, na które zbieraliśmy się zimową porą, płonąc szlachetnym zapałem do ćwiczeń rysunkowych, jakim natchnął nas ten znakomity nauczyciel.

Mała gromadka pilnych gubiła się prawie w wielkiej ciemnej sali, na której ścianach ogromniały i łamały się cienie naszych głów, rzucane od dwóch małych świeczek płonących w szyjkach butelek.

Prawdę mówiąc, niewieleśmy podczas tych godzin rysowali i profesor nie stawiał zbyt ścisłych wymagań. Niektórzy przynosili sobie z domu poduszki i układali się na ławkach do powierzchownej drzemki. I tylko najpilniejsi rysowali pod samą świecą, w złotym kręgu jej blasku.

Czekaliśmy zazwyczaj długo na przyjście profesora, nudząc się wśród sennych rozmów. Wreszcie otwierały się drzwi jego pokoju i wchodził – mały, z piękną brodą, pełen ezoterycznych uśmiechów, dyskretnych przemilczeń i aromatu tajemnicy. […] Wśród sennych rozmów upływał niespostrzeżenie czas i biegł nierównomiernie, robiąc niejako węzły w upływie godzin, połykając kędyś całe puste interwały trwania. […] Noc powtarzała teraz głęboko po północy te serie nokturnów, sztychów nocnych profesora Arendta, kontynuowała jego fantazje. […]

Te nocne seanse pełne były dla mnie tajemnego uroku, nie mogłem i teraz pominąć sposobności, by nie zaglądnąć na moment do sali rysunkowej, postanawiając, że nie pozwolę się tam zatrzymać dłużej nad krótką chwilkę. Ale wstępując po tylnych, cedrowych schodach, pełnych dźwięcznego rezonansu, poznałem, że znajduję się w obcej, nigdy nie widzianej stronie gmachu.

Najlżejszy szmer nie przerywał tu solennej ciszy. Korytarze były w tym skrzydle obszerniejsze, wysłane pluszowym dywanem i pełne wytworności. Małe, ciemno płonące

lampy świeciły na ich zagięciach. Minąwszy jedno takie kolano, znalazłem się na korytarzu jeszcze większym, strojnym w przepych pałacowy. Jedna jego ściana otwierała się szerokimi, szklanymi arkadami do wnętrza mieszkania. Zaczynała się tu przed oczyma długa amfilada pokojów, biegnących w głąb i urządzonych z olśniewającą wspaniałością. Szpalerem obić jedwabnych, luster złoconych, kosztownych mebli i kryształowych pajączków biegł wzrok w puszysty miąższ tych zbytkownych wnętrzy, pełnych kolorowego wirowania i migotliwych arabesek, plączących się girland i pączkujących kwiatów. Głęboka cisza tych pustych salonów pełna była tylko tajnych spojrzeń, które oddawały sobie zwierciadła, i popłochu arabesek, biegnących wysoko fryzami wzdłuż ścian i gubiących się w sztukateriach białych sufitów.

Z podziwem i czcią stałem przed tym przepychem, domyślałem się, że nocna moja eskapada zaprowadziła mnie niespodzianie w skrzydło dyrektora, przed jego prywatne mieszkanie. Stałem przygwożdżony ciekawością, z bijącym sercem, gotów do ucieczki za najlżejszym szmerem. […] Było tak cicho wokoło, że nabrałem odwagi. Nie wydawało mi się to połączone ze zbyt wielkim ryzykiem zejść z paru stopni, prowadzących do poziomu sali, w kilku susach przebiegnąć wielki, kosztowny dywan i znaleźć się na tarasie, z którego bez trudu dostać się mogłem na dobrze mi znaną ulicę. […]

Zbiegłem z kilku kamiennych schodów i znalazłem się znów na ulicy.

Konstelacje stały już stromo na głowie, wszystkie gwiazdy przekręciły się na drugą stronę, ale księżyc, zagrzebany w pierzyny obłoczków, które rozświetlał swą niewidzialną obecnością, zdawał się mieć przed sobą jeszcze nieskończoną drogę i, zatopiony w swych zawiłych procederach niebieskich, nie myślał o świcie.

Na ulicy czerniało kilka dorożek, rozjechanych i rozklekotanych jak kalekie, drzemiące kraby czy karakony. Woźnica nachylił się z wysokiego kozła. Miał twarz drobną, czerwoną i dobroduszną. – Pojedziemy, paniczu? – zapytał. Powóz zadygotał we wszystkich stawach i przegubach swego wieloczłonkowego ciała i ruszył na lekkich obręczach.

Ale kto w taką noc powierza się kaprysom nieobliczalnego dorożkarza? Wśród klekotu szprych, wśród dudnienia pudła i budy nie mogłem porozumieć się z nim co do celu drogi. […]

Nie zapomnę nigdy tej jazdy świetlistej w najjaśniejszą noc zimową. Kolorowa mapa niebios wyogromniała w kopułę niezmierną, na której spiętrzyły się fantastyczne lądy, oceany i morza, porysowane liniami wirów i prądów gwiezdnych, świetlistymi liniami geografii niebieskiej. Powietrze stało się lekkie do oddychania i świetlane jak gaza srebrna. Pachniało fiołkami. Spod wełnianego jak białe karakuły śniegu wychylały się anemony drżące, z iskrą światła księżycowego w delikatnym kielichu. Las cały zdawał się iluminować tysiącznymi światłami, gwiazdami, które rzęsiście ronił grudniowy firmament. Powietrze dyszało jakąś tajną wiosną, niewypowiedzianą czystością śniegu i fiołków. Wjechaliśmy w teren pagórkowaty. […] Droga stała się stroma, koń poślizgiwał się i z trudem ciągnął pojazd, grający wszystkimi przegubami. Byłem szczęśliwy. Pierś moja wchłaniała tę błogą wiosnę powietrza, świeżość gwiazd i śniegu.

Bruno Schulz, *Sklepy cynamonowe. Sanatorium pod klepsydrą*, Kraków–Wrocław 1985.

Temat 2. **Dokonaj analizy i interpretacji porównawczej wierszy Zbigniewa Herberta *Mój ojciec* i Tadeusza Nowaka *Jak się przed tobą wytłumaczę*. Zwróć uwagę na kreacje podmiotu mówiącego, sposoby przedstawienia postaci ojca i relacji między synem a ojcem.**

MÓJ OJCIEC

Mój ojciec bardzo lubił France'a[1]
i palił Przedni Macedoński[2]
w niebieskich chmurach aromatu
smakował uśmiech w wargach wąskich
i wtedy w tych odległych czasach
gdy pochylony siedział z książką
mówiłem: ojciec jest Sindbadem[3]
i jest mu z nami czasem gorzko

przeto odjeżdżał Na dywanie
na czterech wiatrach Po atlasach
biegliśmy za nim zatroskani
a on się gubił W końcu wracał
zdejmował zapach kładł pantofle
znów chrobot kluczy po kieszeniach
i dni jak krople ciężkie krople
i czas przemija lecz nie zmienia

na święta raz firanki zdjęto
przez szybę wyszedł i nie wrócił
nie wiem czy oczy przymknął z żalu
czy głowy ku nam nie odwrócił
raz w zagranicznych ilustracjach
widziałem jego fotografię
gubernatorem jest na wyspie
gdzie palmy są i liberalizm

Zbigniew Herbert, *Wiersze zebrane,* Kraków 2008.

JAK SIĘ PRZED TOBĄ WYTŁUMACZĘ

O, życie moje, nieprzytomne życie.
Chodzę wśród ludzi, których się dotyka
ustami, ręką, wzrokiem, wyobraźnią.
Czy wy mnie, ludzie, smutku oduczycie,
co we mnie rośnie, rośnie jak muzyka,
gdy bębny ziemi moje stopy drażnią?

[1] Anatole France (1844–1924) – poeta, powieściopisarz i krytyk francuski.
[2] Przedni Macedoński – rodzaj tytoniu używanego do ręcznego robienia papierosów.
[3] Sindbad – Sindbad Żeglarz jest bohaterem opowieści zamieszczonych w *Księdze tysiąca i jednej nocy*. Przeżywa przygody, żeglując po morzach między Afryką a Azją.

Wciąż mi się zdaje, że już dawno jestem
tam, dokąd idę z podniesioną głową.
A przy mnie usta zaciska surowo
ojciec wpatrzony w miedzę pod butami
i twardej ręki niecierpliwym gestem
wskazuje niebo krążące nad nami.

I cóż mu powiem? W oczy mu popatrzę,
schylę się nisko do rąk dostojeństwa,
a on pomyśli o miejskim teatrze,
gdzie ponoć uczą kłamliwej pokory,
i twarz odwróci od gestu błazeństwa,
i pójdzie siwą łąką na nieszpory.

Jak się przed tobą, ojcze, wytłumaczę
z różańca, który po ziarnku gubiłem
w ogromnym lesie, co się za mną czerni,
gdy na twe ręce tak pokornie patrzę,
jakbym roztrwonił wszystko co mi dałeś.
A łąką idą ukorzyć się wierni.

Tadeusz Nowak, *Wiersze wybrane,* Warszawa 1978.

WYPRACOWANIE

na temat nr ……

.....

.....

.....

.....

.....

.....

.....

.....

.....

.....

.....

.....

.....

.....

.....

.....

.....

.....

.....

.....

.....

.....

.....

.....

.....

.....

.....

.....

.....

.....

.....

.....

.....

.....

.....

.....

.....

.....

.....

.....

.....

.....

.....

.....

.....

.....

.....

.....

.....

.....

.....

.....

.....

.....

.....

.....

.....

.....

.....

.....

.....

.....

.....

.....

.....

.....

.....

.....

.....

.....

.....

.....

.....

.....

.....

.....

.....

.....

.....

.....

.....

.....

.....

.....

.....

.....

.....

.....

.....

.....

.....

.....

.....

.....

.....

.....

.....

.....

.....

.....

.....

.....

.....

.....

.....

.....

.....

.....

.....

.....

.....

.....

.....

.....

.....

.....

.....

.....

.....

.....

.....

.....

.....

.....

.....

.....

.....

.....

.....

.....

.....

.....

.....

.....

.....

.....

.....

.....

.....

.....

.....

.....

.....

.....

.....

.....

.....

.....

.....

.....

.....

.....

.....

.....

.....

.....

.....

.....

.....

.....

.....

.....

.....

.....

.....

.....

.....

.....

.....

.....

.....

.....

.....

.....

.....

BRUDNOPIS *(nie podlega ocenie)*